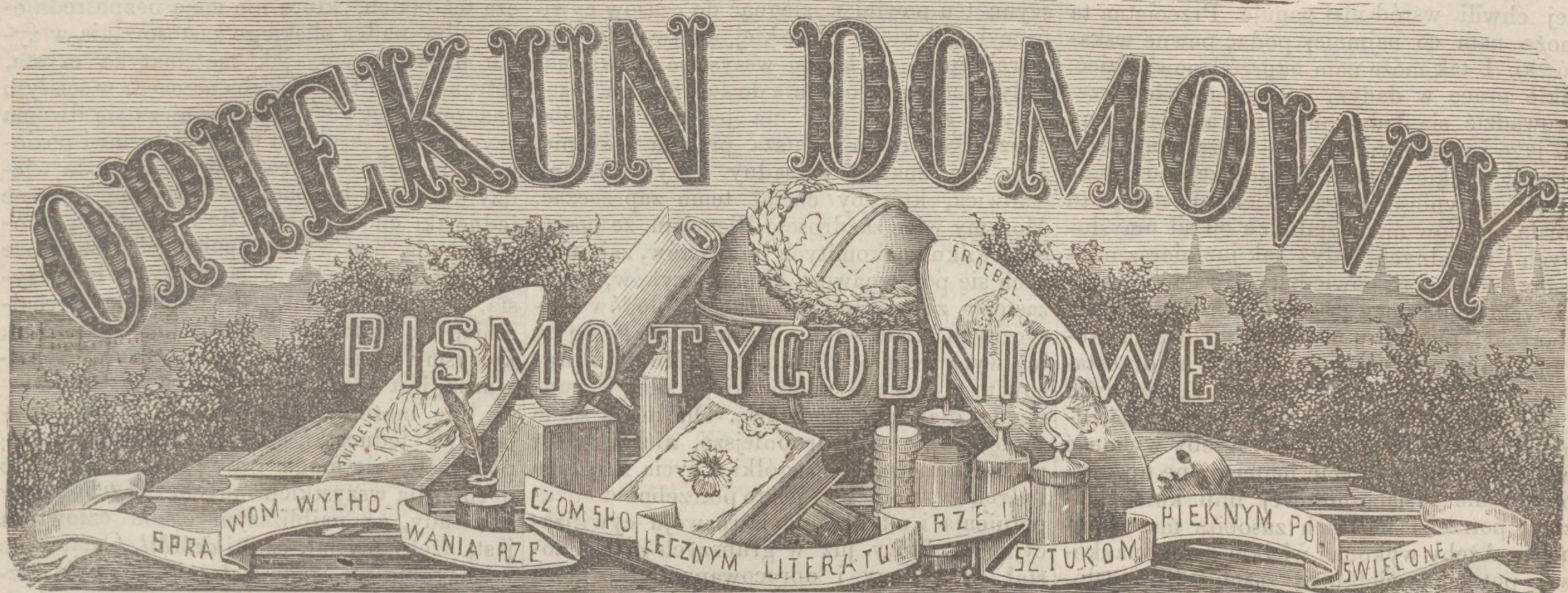
Nr. 33. Warszawa, dnia 1 (13) Sierpnia 1873 roku. ROK IX.—SERYJA 3-cia.



CENA PRENUMERATY
łącznie z 12-tu tomami bezpłatnego dodatku:

Warszawie z odnoszeniem do domu:		na prowincyi w Cesarstwie i Królest.:	
rocznie	rs. 3 kop. 60	rocznie	rs. 5
półrocznie	rs. 1 „ 80	półrocznie	„ 2 kop. 50
kwartalnie	„ 90	w Austryi rocznie	9 guldenów
miesięcznie	„ 30	w Prusach	„ 5 talarów

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 30 (NOWY).

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środa.

Skład Główny dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w Redakcyi przy ulicy Nowy Świat Nr. 30 nowy; w *Poznaniu* u Czapińskiego (daw. księg. Rychtera); we *Lwowie* u Wilda Karola; w *Żytomierzu* u Budkiewicza księgarza; *w Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego.

Numer pojedyńczy kop. 10.

WYBÓR ZAWODU.

II.

Gdyby się nas zapytano ogólnie, w teoryi, jakie zajęcia potrzebne są społeczeństwom, odpowiedzielibyśmy bez wahania, że wszystkie *produkcyjne* t. j. takie, których zadaniem jest przymnażanie dobrobytu zarówno materyjalnego jak i moralnego. Co się rozwinęło wśród biegu dziejów; wszelkie gałęzie nauk, sztuk i rzemiosł, wszelkie zawody, jakie ludzie obejmować mogą nie w celu korzystania bezmozolnego z dobrodziejstw cywilizacyi, lecz w celu przyłożenia pracowitej ręki do jej wzrostu i rozpowszechnienia się, wszystko to ma w zasadzie prawo do naszego szacunku, może i powinno stanowić przedmiot naszego krzątania się i zabiegów. Co się raz stało dobytkiem społeczeństwa, nie może zaginąć; w tej lub innej formie, mało lub znacznie zmienionej, przetrwa wieki, budząc nowe siły do czynu, nowe myśli i uczucia nowe.

W ten sposób *idealnie* można tworzyć państwa i społeczeństwa, wykreślać im drogi pochodu, oznaczać szczegółowo miejsca, jakie pojedyncze jednostki zajmować w nich powinny, ażeby harmonijną utworzyły całość; rozporządzać najzdolniejszemi i najodpowiedniejszemi siłami dla przeprowadzenia ogólnego planu, do jakiego ludzkość cała zdążać powinna. Ze stanowiska teoryi nic temu zarzucić nie można. I owszem, dla każdego człowieka potrzeba jakiegoś drogoskazu, jakiejś normy, podług której postępować mu należy gdyż bez tych pomocniczych środków musiałby się błąkać, musiałby wiele czasu stracić napróżno, a co ważniejsza, nie mogąc odpowiedzieć na najważniejsze pytanie, dokąd idzie, możeby nawet do właściwego miejsca nie zaszedł. Jeżeli Mickiewicz powiada:

> Mierz siły na zamiary,
> Nie zamiar wedle sił,

to z całego serca przyklasnąć mu możemy; bo przekonanie o własnej sile, robi każdego stokroć silniejszym niż jest w istocie, usuwa przeszkody i zapory, trudności jako łatwe do przezwyciężenia przedstawia i entuzyjazmuje duszę. Nic przeciwko temu nie mamy: natchnienie, zapał, dokonywają wielkich czynów; idealne wzory nasuwają myśl dorównania im; teoryje, obejmujące ludzkość jednym poglądem rozszerzają horyzont naszego widzenia i wiele rzeczy we właściwszym ukazują świetle; słowem wszystkie tu wymienione czynniki są niezmiernie ważnemi *pobudkami* do działania.

Zwykle zbliżanie się do ideału postępuje krok za krokiem, ale stale i systematycznie. Dawne potrzeby zaspakajają się zmienionemi środkami; nowe potrzeby, nowe też wywołują środki. Lecz przypatrując się rozwojowi temu bliżej, widzimy, że wszystkie jego przejawy wyrosły na grucie dziejowym, że żaden nie zjawił się nagle jak pieczarka po deszczu...

Taki jest naturalny pochód rzeczy. Jedne narody przebywają pewne fazy wcześniej, inne później; ale żaden nie może samowolnie *stwarzać* potrzeb lub wywoływać sztucznie przez wprowadzenie środków, służących do zaspokojenia tych potrzeb. Wszystko, co się nazywa postępem, wymaga pewnego gruntu pod sobą, pewnego przygotowania. Gdybyśmy np. wieśniakowi umiejącemu zaledwie czytać, dali do ręki poezyje Słowackiego albo elementarną nawet geometryją, tyleby z niej skorzystał, iż o słuch jego odbiłyby się pewne grupy dźwięków. Chcąc go doprowadzić do rozumienia tych dźwięków, musimy mu dać stopniowo prowadzone wykształcenie. Wykształcenie zaś takie niczym innym nie jest, jak tylko przygotowaniem umysłu ludzkiego zapomocą pewnych środków do przyjęcia nowych, bardziej złożonych kombinacyi wyobrażeń. Jak tutaj z wieśniakiem, tak samo rzecz się ma z całą masą społeczeństwa. Biorąc ją wogóle, w całości, możemy znaleść pewną przeciętną zasobów materyjalnych i umysłowego uzdolnienia, jakie w da-

ŚLADY ŻYCIA.

XXXIII.

Tyle życia, ile.. w czynie.

Salon tutejszej Wystawy Sztuk Pięknych zbogacił się w ostatnich czasach kilku nowemi obrazami. Najważniejszym z pomiędzy świeżych utworów pędzla, nad którym się mimowoli każde zatrzymuje oko, jest filozoficzne studyjum młodego malarza p. Szwojnickiego p. t. „Trzy epoki”. Wykładnikami tego tytułu są trzy postaci: kontuszowy o pogodnym obliczu, dumający nad „dyjaryjuszem sejmowym” karmazyn, natchniony idealista, przedstawiciel dnia wczorajszego, metafizycznej epoki w historyi ludzkiego umysłu, i wreszcie przedstawiciel chwili dzisiejszej, młodzieniec o trzeźwym spojrzeniu z księgą i cyrklem w ręku. Żywotności pomysłu towarzyszy czysty koloryt i poprawna technika; charakterystyka figur czy epok pod figurami niewiele pozostawia do życzenia a z całości bije ciepła rozwaga artysty i obywatela. Obok tego obrazu umieszczono religijny utwór p. Jasińskiego p. n. „Przemienienie Pańskie”. Kompozycyja ta mówi tylko o braku natchnienia i rzemieślniczym pośpiechu, naglącym do malowania na błękitnym tle jednostajnych o szklanym oku masek ludzkich, rozmieszczonych wedle wskazówek Pisma Ś-go w obłokach i na ziemi. W wiązance nowości zwracają prócz tego na siebie uwagę dwa obrazy historyczne i dwa rodzajowe. Do pierwszych zaliczamy: „Deputacyją u Wita Stwosza” Chlebowskiego i „Pracownią Rembrandt'a” Suchodolskiego; do drugich—„Jedyną pociechę starości” Heyman'a i „Sprawę u Wójta” Kostrzewskiego. „Deputacyja” przedstawia salę gotycką, w której ociemniały rzeźbiarz przyjmuje dobrotliwie grono zapóźno korzących się przed nim obywateli Norymbergi. Trafną tu jest nadewszystko charakterystyka twarzy członków deputacyi, poglądających na mistrza z idyjotycznym półuśmiechem niewczesnej skruchy i wogóle w różnym stopniu grozą i żalem przejętych. „Pracownia Rembrandt'a” Suchodolskiego jest niemym, ni do umysłu ni do serca nieprzemawiającym obrazem; oświeca ją zaś błękitny koloryt, właściwy temu zasłużonemu przedstawicielowi ubiegłej epoki naszego malarstwa. „Jedyną pociechę starości” wyobraża zdolnie narysowana postać zżółkłego od chronicznych chorób starca, zwracającego się gasnącym spojrzeniem ku sylwetkowej figurce wnuczki. „Sprawa u wójta” jest nakoniec utworem, w którym dobremu pomysłowi towarzyszy, właściwe p. Kostrzewskiemu zupełne lekceważenie pędzla. Obrazek ten przedstawia z wielkim zasobem humoru cały areopag wiejskiego sądu z wójtem-chłopem na czele, który słucha objaśnień żyda, posądzonego, jak świadczy *corpus-delicti* o kradzież gęsi.

* * *

nej chwili wśród niej panuje. Przeciętna ta może nam co najmniej podać pewne wskazówki. I tak może nam naprzód powiedzieć, jakie prace w danym społeczeństwie przeprowadzić się dadzą nie przekraczając sumy sił jego i zasobów; powtóre może nam bliżej określić, jakie środki najprędzej pożądane owoce przynieść mogą. Nierozdzielamy tu wcale zasobów materyjalnych od sił umysłowych i moralnych, gdyż jak już nieraz mieliśmy sposobność powiedzieć, dwa te czynniki życia społecznego są z sobą nierozdzielnie złączone: pierwsze stanowią grunt, na którym mogą się rozwinąć drugie aż do ostatecznych granic doskonałości. Dla jednych i dla drugich to samo prawo rozwoju najzupełniej zastosować się daje. Ażeby wykonać wielkie przedsięwzięcie materyjalne np. wybudowanie tysiąco-milowej linii kolei żelaznej, potrzeba wielkich zasobów materyjalnych. Ażeby wykonać wielkie dzieło naukowe, potrzeba wielkiego zasobu sił umysłowych. Stan zaś materyjalny pewnego kraju oddziaływa na stan jego umysłowy i naodwrót. Nie można wprawdzie powiedzieć, żeby *ilość zdolności* umysłowych zależała od ilości bogactw; gdyż do powstania pierwszych potrzeba jeszcze bardzo wielu innych warunków; ale można twierdzić na pewno, że stan materyjalny określa ilość *potrzeb* umysłowych danego społeczeństwa. Cóż to znaczy? To znaczy, że w danym społeczeństwie tylko pewna część zdolności i tylko w pewnych kierunkach *pożytecznie* działać może.

Sprobujmy wyjaśnić to na przykładzie.

Nie jesteśmy z liczby tych, co pogardzając językoznawstwem a w szczególności filologiją klasyczną, pytają się syderczo, co ludzkość na tym zyska, jeżeli się dowie, że kochanka Tybulla nie była rodowitą rzymianką tylko pochodziła z prowincyi.... Odkładając żart na stronę i wzroku swego nie zaciemniając drobnostkami, musimy przyznać, że znajomość starożytnych języków i pisarzów starożytnych ma wielki wpływ na pojedyńcze jednostki, a za tym i na całe grupy społeczne jako z jednostek się składające; musimy dalej przyznać, że kto chce badać cywilizacyją spółczesną, kto chce odnaleść wszystkie czynniki, jakie na jej wytworzenie stopniowo się składały, kto chce gruntownie zapoznać się z życiem dzisiejszym; ten powinien sięgnąć do czasów cywilizacyi greckiej i rzymskiej, a nawet do prastarej epoki, w której wszystkie prawie narody, liczące się obecnie do światłych i rozumnych spólnie żyły na jednym gruncie. Wszystko to najświętsza prawda i wątpię, żeby się znalazł rozsądny i wykształcony człowiek, któryby chciał temu zaprzeczać. Możemy więc zazdrościć Niemcom, że posiadają kilku znakomitych lingwistów, zajmujących się porównawczą nauką języków, i całe zastępy zdolnych i biegłych filologów klasycznych. Całe setki wieków składały się na ich wytworzenie, znajdując w pilności i pracowitości narodu niemieckiego silną i gruntowną dla siebie podstawę. Oni mogą sobie zagłębiać się w najdrobniejsze, nieraz nawet najśmieszniejsze szczegółki z życia Rzymian i Greków, ponieważ jestto potrzebne do uzupełnienia i udokładnienia rozwoju cywilizacyjnego, który już w grubszych rysach został nakreślony i opracowany. Kraj może ich wyżywić i prace ich chociaż skromnie opłacać, bo środki jego starczą mu na to najzupełniej. Ale pytanie, coby ci Niemcy robili, gdyby nauczywszy się po polsku, całą szarańczą spadli na nasze królestwo? Zdaje się, że z wyjątkiem kilkunastu lub może kilkudziesięciu, którzyby mogli zająć korzystne miejsca, wyglądaliby jak posągi starożytne wśród naszej wieśniaczej zagrody. Ludzie patrzaliby na nie nie rozumiejąc, co one znaczą i uważając je za proste bałwanki.... Kraj nasz w dzisiejszych warunkach nie ma potrzeby i nie może opłacać tylu uczonych w takim właśnie kierunku wiedzy.... Co więcej nawet *klasyczne* tradycyjnie Niemcy od lat już kilku wydają mniejszy procent filologów, zwracają się do zajęć realniejszych.

Pewna więc tylko liczba może i powinna znaleść utrzymanie w kraju. Jaką liczba ta wyrażać się ma cyfrą, niepodobna z góry określić; nie należy jednakże utyskiwać i nad upadkiem „poczucia idealnego“ biadać jak to niektórzy czynią, jeżeli z danych statystycznych przekonywamy się, że z każdym rokiem zmniejsza się liczba słuchaczów wydziału filologiczno-historycznego w uniwersytecie warszawskim. „Poczucie idealne“ może się przecież i w innych sferach wiedzy przejawiać.

To samo co o filologii można również powiedzieć o wszystkich innych naukach, zwłaszcza też takich, które nie mają bezpośredniego albo nader bliskiego zastosowania w życiu praktycznym, jak matematyka czysta, astronomija i t. p. Liczba *uczonych* w ścisłym znaczeniu tego wyrazu ogranicza się dwoma czynnikami: zasobami materyjalnemi i poziomem umysłowego rozwoju. Pociąg do wiedzy nigdy w ludziach nie wygaśnie i pewne jednostki choćby o głodzie i chłodzie pracować będą nad wytworzeniem planów, które się zużytkują może w lat dwieście lub trzysta. Uznając ten fakt, nie ganimy go bynajmniej, bo poznanie prawdy jest spadkiem, któryśmy odziedziczyli po mitycznym Prometeuszu, jest spadkiem, z którego grosza stracić nie możemy. Wiemy atoli, że takie wyjątkowe jednostki, jak te o którychśmy napomknęli, nie mogą i nie powinny stanowić normy dla wszystkich innych. Wychodzimy z zasady, że najbliższym celem człowieka jest, ażeby myślał, czuł i *działał*. Ostatnie to wymaganie sprowadza właśnie kwestyją rozmaitych zajęć i zawodów na grunt najbardziej praktyczny, bo działanie wtedy tylko jest możliwym, gdy są gotowe wszystkie warunki, powstanie jego i przebieg nie tylko umożliwiające ale i ułatwiające. Kto chce działać korzystnie musi mieć warunki korzystne; musi mieć środki do natychmiastowego albo bardzo szybkiego przeprowadzenia swych planów. Działanie korzystne musi mieć powodzenie za skutek.

Ażeby uczeni mogli siły swoje zużytkować, ażeby mogli działać pożytecznie, potrzeba wykształconych mas, któreby ich rozumiały, a rozumiejąc i oceniając ich potrzebę, byt im materyjalny zapewnili.

Jeżeli więc od lat kilku wiele się mówi (niestety! po większej części tylko się mówi) o oświacie ludowej, o wykształceniu przemysłowym, o zwrocie do nauk stosowanych czyli tak zwanych realnych: to widzimy w tym najzupełniej słuszne zrozumienie potrzeb społeczeństwa naszego, w którym musi się przedewszystkim podnieść dobrobyt materyjalny—i spółcześnie oświata rozszerzyć się musi na wielkie, bardzo wielkie masy. Z powodu braku zakładu technicznego, o który prasa niemal co rok się dopomina, nie możemy zaznaczyć znacznego przyrostu kształcących się i wykształconych w tym kierunku, daje się już i on atoli spostrzegać, i nie wątpimy, że ciągle zwiększać będzie. Jak się on

---

Opera nasza pragnie wzmocnić swe siły. Niedawno przyjęto panią Juniewicz i Sobolewską, obecnie dowiadujemy się, że pp. Siwicki i Wasilewski policzeni zostali do składu artystów Teatru Wielkiego. Obaj ci panowie bez zaprzeczenia posiadają dobry materyjał na śpiewaków, otwarcie jednak wyznajemy, że nie stoją oni jeszcze na dostatecznym stopniu pod względem metody śpiewu i ogólnego muzykalnego wykształcenia.

Chęć prędkiego odznaczenia się i zdobycia oklasków powoduje trochę przedwczesne debiuty, a jeżeli dary od natury otrzymane zdołają zjednać publiczność, natenczas śpiewak rzuca w połowie naukę i zadawalnia się połowicznym rezultatem tej ostatniej.

Brak wytrwałości jest wielką wadą naszego społeczeństwa. Na polu muzyki odznaczają się nią osobliwie kompozytorowie i śpiewacy. Pierwsi rzadko zostają mistrzami, bo brak im cierpliwości w mozolnych studyjach nad kontrapunktem i kompozycyją. Drudzy zaś tracą głosy przedwcześnie, bo nie umieją go oszczędzać przez umiejętne władanie. Poruszamy tę ważną kwestyją dla tego, że długi czas opera nasza przedstawiała stan upadku. Śledząc pilnie objawy jej życia *zawsze* dostrzegaliśmy tam talenty, ale rzadko niezmiernie znajdowaliśmy coś więcej niż intuicyją.

Stosując to wszystko *ab ovo*, życzymy serdecznie młodym artystom, t. j. panom: Siwickiemu i Wasilewskiemu, aby gruntownie zrozumieli swój obowiązek douczenia się tego, czego im jeszcze nie dostaje, a z pewnością praca ich przyniesie dobre owoce tak operze, i publiczności, jak i im samym.

Jeżeli jednak prawdą jest, że jednemu z nich powierzono rolę Agamemnona, to musielibyśmy odezwać się ze słowem krytyki dla reżyseryi teatralnej, która młodemu a do poważnych partycyj okazującemu talent śpiewakowi, dając Offenbachowskie do odtworzenia *kreacyje*, odrazu skrzywić może jego przyszłość.

* * *

Obecny sezon kąpielowy w Ciechocinku nie jest zbyt liczny i ożywiony. Wiele osób z obawy cholery wyjechało pospiesznie. Strach ten według nas szkodliwszym jest aniżeli zdawać się to z pozoru może.

Wypadki epidemii trafiają się prawie wszędzie i taksamo w Ciechocinku jak i gdzieindziej zapaść na nią można. Przerwanie zaś kuracyi, gwałtowna zwykle przez to zmiana trybu życia i obawa łatwo sprowadzić mogą słabość.

Ten nagły wyjazd wielu gości spowodował że pozostali stracili humor i ochotę do zabaw. Życie więc towarzyskie nierozwinięte. Sobotnie zebrania na dworcu kolei nie zdołały spoić wszystkich w jedno koło. Spacer pod tężniami przybiera formę automatycznych poruszeń nogami, lub nieruchomego siedzenia na ławkach. Nawet wcale dobra orkiestra pana Plater nie jest w stanie rozbudzić ziewających gości. Pism peryjodycznych mało, a i te co są, nie bardzo poczytne; dla zabicia czasu i nudy pocieszają się wistem lub preferansem i w tym tylko razie można usłyszeć między niemi ożywioną rozprawę gdy partner niewłaściwie wyszedł w kolor lub zrzucił drugiego króla.

Panie spacerując poważnie, lustrują się wzajemnie, i po największej części są samotne; to też nie dziw że w braku zajęć ważniejszych pilnie rozpatrują sprawy bliźnich, poddając je szczegółowym komentarzom.

Ten rodzaj zabicia czasu, którego nie chcemy nazwać właściwym i pospolitym jego wyrazem, jest zdaje się właściwością pory kąpielowej.

W takich to warunkach życia, błysnął koncert pana Górskiego. Znane przymioty artysty zachęciły gości do dość licznego zebra-

wyrażać powinien w szczegółach: w wykształceniu rolniczym, handlowym, przemysłowym, mówiliśmy już o tym dawniej i nieraz jeszcze mówić będziemy.

Objaw ten budzi w niektórych pewne obawy i wątpliwości. Uderzają oni mianowicie na przypuszczalne złe następstwa zwrotu do realizmu, do praktyki życia codziennego, następstwa, jakie ukazały się wśród innych społeczeństw europejskich. Zwiększenie się samolubstwa, przecenianie interesów materyjalnych, wynoszenie ich znaczenia kosztem idealnych celów ludzkości, pewne ograniczenie i tępość umysłowa: oto mają być skutki owego zwrotu, jakie przepowiadają mu samorodni prorocy nasi. Wychodzą oni z tego przypuszczenia, że zajęcie się realną jakąś profesyją wyklucza zupełnie wszelkie szlachetniejsze uczucia. Ale któż zaręczył, że przypuszczenie to jest usprawiedliwione? W praktyce zdarzają się i dość często nawet tak straszne zboczenia moralne, że możnaby zrozpaczyć o losie społeczeństw całych, to prawda; ale zdarzają się one i zdarzały również często w krajach i w czasach w których najmniej mówiono i pisano o ulepszeniach materyjalnych. Wiadomo, że w czasie największego ubóstwienia dla utworów klasycznych Rzymu i Grecyi, zarówno w stolicy papieskiej, która kierunek ten protegowała, jak i w całych Włoszech, które zapałem dla niego gorzały, panowało największe może zepsucie moralne, jakie w dziejach Włoch nowożytnych wykazaćby się dało. Nie idzie jednak zatym, żeby naukę języka greckiego uważać za rzecz godną potępienia z tej prostej przyczyny, że *sama* nauka do owych zdrożności nigdy nie doprowadzi, że do ich wywołania muszą się inne przyłączyć czynniki.

Czynników tych szukać winniśmy po większej części w wychowaniu. Jeżeli więc są pewne obawy, jakie wzbudza kierunek realny, należy je uprzedzić reformą wychowania. O cóż tu głównie idzie? O to, ażeby wśród zajęć około interesów materyjalnych, nie stracić z oczu wielkich celów duchowych, do jakich ludzie dążyć powinni. Zdaje nam się, że jeżeli ktoś ich nie zna, a co większa jeżeli ich nie ukochał, to czy się będzie zajmował gramatyką sanskrycką, czy jeometryją wykreślną, czy prawem międzynarodowym, to zupełnie rzeczy nie zmieni: czym był przed tym, tym pozostanie i nadal, nie biorąc naturalnie w rachubę wpływów życiowych, które na różne jednostki bardzo różnie oddziaływają.

Wychowanie jedynie może dać poznać i dać ukochać cele społeczne, o których mówimy. Ażeby to zrobić, w wychowaniu naszym zajść musi koniecznie jedna ważna reforma. Każdy człowiek, w stosownym dla siebie zakresie, powinien wiedzieć co winien społeczeństwu. Dokładna znajomość dziejów i jeografii kraju, jego zasobów i bogactw, jego instytucyi i urządzeń, jego środków materyjalnych i sił umysłowych; dalej znajomość historyi ogólnej zwłaszcza najnowszej, znajomość potrzeb społeczeństwa, wśród którego żyje i znajomość obowiązków jakie ono nań wkłada: oto środki do tego celu prowadzące. Nauki, zapoznające z powższemi przedmiotami, powinny wejść w zakres *średniego wykształcenia*. Żaden człowiek nie może dobrze wypełnić swych obowiązków, jeżeli ich nie zna, zdaje się jestto rzecz jasna. A że nie zna, widzimy to nieraz ze smutkiem.

Nie dosyć jednakże na tym. Nie myślimy, ażeby nauka, wiedza wogóle, czyniła zaraz ludzi dobremi obywatelami. Wychowanie powinno działać w innym jeszcze kierunku; powinno dać ukochać te obowiązki, o których naucza w części swej dydaktycznej. Tutaj możliwe już jest tylko działanie jednostek i wychowańców, rodziców i pewnych grup, połączonych w towarzystwa. Przykład będzie tu najlepszą metodą wychowawczą; przykład zagrzeje i rozpłomieni serca młode, które wrażeń swych nie łatwo zapominają....

Jeżeli ktoś będzie znał i kochał swe obowiązki, ten najlepiej ocenić potrafi, jaki zawód jego siłom odpowiada, a społeczeństwu korzyść przynieść może, i jeżeli rzuci się na drogę praktyczną, która według nas obecnie najwięcej potrzebuje pracowników, nie będziemy mieli obawy, ażeby ducha jego oślepiła mamona.....

HRABINA ELODYJA.

Powieść

Maryi Szeligi.

(Ciąg dalszy).

Władysław zamyślił się chwilę—mruknął. „to i lepiej” — i poszedł do pokóju żony.—

— Niestety! Djolu— Nie będzie miał już kto tak umiejętnie dobierać książek! — rzekł wchodząc — pan biblijotekarz nas opuszcza!

— Kto? dlaczego?.... wyjęknęła chwytając się krzesła aby nie upaść.

— Emanuel wyjeżdża jutro raniutko—kazał cię pożegnać. List jakiś powołał go do Warszawy—nie mogłem się z nim dogadać!... Blady, zmieniony — zapewne sercowa awantura.Nie będzie nam miał kto czytać wieczorem!

Elodyja milczała —ciemno zapadało—hrabia nie widział jej twarzy —spytał więc trochę podejrzliwie:

— I cóż ty na to?

— Szkoda!—rzekła jakby zbudzona Elodyja wstrząsając się—Szkoda! — powtórzyła suchym, twardym, nie swoim głosem. Władysławowi ten dźwięk głosu był dobrze znajomym — tym samym tonem kiedyś, przed laty, powtórzyła takież słowo, jej matka, pani Klementyna Ruszczyc. Powód i okoliczności towarzyszące temu wyrażeniu, uprzytomniły się jego pamięci, sprowadzając na twarz coś nakształt ciemnego rumieńca. Odrzucając wspomnienie prędko — rzekł z niechęcią:

— E! szkoda niewielka — za takąż cenę, dziesięciu innych dostanie! Biblijoteka nieźle ułożona—a spisać katalogi lada kto potrafi! Nie miałby co prawda robić tu rok cały.

— Lubiłeś go przecież! —mówiła widocznie aby coś mówić Djola.

— Ależ lubimy wiele rzeczy na świecie, za stratą których kwilić jest śmiesznością. Lubię moje konie bo mnie dobrze noszą, moje psy, bo mię bawią —muzykę, bo mię rozrywa. Lubię także i lektora dobrego, jakim jest Emanuel —a przecież żałoby po nim nie przywdzieję!

— Bardzo słusznie! — odparła niesłysząc prawie co mówił.

— Tak sądzę! dodał hrabia wyniośle.—

Wniesiono światło — Władysław spojrzał badawczo na żonę — miała gorączkowe ru-

---

nia się i wysłuchania programu doborowego. Bawiono się dobrze, a sala odznaczała się osobliwie tym, iż trzy czwarte publiczności stanowiły kobiety, dając dowód że piękno zawsze łatwiej przemawia do nich, niż do brzydkiej połowy rodu ludzkiego. Zwróciliśmy uwagę na jednę okoliczność o której wspominamy *ad usum Delphinorum*, tj. zastosowania jej w Warszawie, a mianowicie, że nikt się nie ruszył z miejsca dopóki ostatnie tony muzyki nie przebrzmiały. Ten dowód szacunku dla sztuki i artysty notujemy z prawdziwym zadowoleniem i uznaniem. Czy u nas do tego przyjdzie?...

* * *

Od jednego z młodych naturalistów p. B. Znatowicza otrzymaliśmy list, który pomieszczamy tym chętniej, iż protestuje on przeciwko zbyt u nas częstym jak dzisiaj napaściom na uczciwą pracę naukową i na ludzi poświęcających się poszukiwaniom i sumiennym studyjom:

Szanowny panie Redaktorze!

Darujcie, że nadużywam gościnności łamów pisma Waszego, ale zmusza mnie do tego wypadek niezwykły i zasługujący niestety na rozgłos szeroki a smutny. W N-rze. 173 Gazety Polskiej, pod rubryką: „Bez tytułu” do kronikarskiej wzmianki o odkryciu świeżo w okolicach Ojcowa przez pp. Ślósarskiego i Zawiszę dokonanym, autor dołączył tyle szyderstw i złośliwych uwag, że nieznający sprawy czytelnik mógłby conajmniej badaczów naszych o żądzę herostratowej sławy posądzić. Büchner'a, materyjalizm, goryla i odkrycie przeddziejowego zabytku zmięszał kronikarz w sposób chaotyczny, z którego widnieje tylko chęć przekonania ogółu, że nic niebezpieczniejszego dla szczęścia ludzkości, jak każde nowe odkrycie na polu badań przyrodniczych zrobione. Szczęściem żadna napaść gazeciarska rozwoju nauki powstrzymać nie zdoła, szczęściem imiona pracowników w winnicy prawdy nazawsze pozostają przedmiotem szacunku ludzi rozsądnych, chociażby nawet tysiące piór tępiło na nich swe ostrza. Gdyby nie ta myśl, agrumentacyja kronikarza Gaz. Pol. zdolnąby była pozbawić naszych badaczy wszelkiej czci i wiary.

Wywołuje on duchy rycerskich przodków i uroczyście zapewnia je, że woli jaskinie z ich wspomnieniami, niż paleontologiją (!), czytelnikom książek antropologicznych każe na czworakach łazić, gdyż (według niego) Büchner twierdzi, że to jest jedyna „pozycyja człowieka w naturze”. Wiadomo, z jakim niedowierzaniem i niechęcią, większość ogółu naszego przyjmuje wszelkie naukowe i pseudo-naukowe nowiny zagraniczne. Słusznie, czy niesłusznie, rozumujący stronnicy tego niedowierzania twierdzą, że naród nasz dotyla jeszcze ma sąd niewyrobiony, iż rozpowszechnianie wyników badań uczonych Zachodu, szkodliwie wpłynąć by mogło na naszę moralność i religijność. Sądzę jednak, że przynajmniej kierownicy opinii powszechnej powinniby umieć odróżniać hipotezy, przenośnie a czasami i obłędy teoretyków od moralnej pracy naukowej, od zdobytej w pocie czoła prawdy, od faktu, który pomimo najzjadliwszych przycinków zawsze faktem pozostanie.

Identyfikować odkrycia pp. S. i Z. z marzeniami utopistów niemieckich może tylko nieświadomość lub niechęć. Nie szyderstwo, nie anatemę, lecz cześć i uznanie winniśmy tym nielicznym naszym mężom, co ciężki wóz wiedzy pchają wytrwale pomimo przeszkód i trudności.

Wierząc, że powyższych słów kilka zechce Szanowny pan zamieścić w piśmie swoim, pozostaję z szacunkiem,

Znatowicz.

* *

Przed niedawnym czasem *Tygodnik Ilustrowany* wspominając o nowootwieranych

mience — drganie ust tłumiła zaciskając je siłą—lecz wydawała się prawie w zwyczajnym usposobieniu.

Wieczór przeszedł spokojnie — hrabina Elodyja wypełniała automatycznie swą rolę gospodyni —rozmawiała z mężem —a nawet kilka razy głośno się rozśmiała.

— Ucieszony i uspokojony hrabia, uścisnął ją czule na dobranoc — drżała mu w objęciu jak listek —zauważył to i spytał co jej jest?

— Nic! zimno mi!... idź sobie!—odepchnęła go lekko.

— Zimno ci? — mówił tuląc ją mocniej do siebie.

— Już nie! — Dobranoc! wyrzekła przez zacięte zęby i wydarła się nieledwie z jego rąk.

— Une fille de marbre! — westchnął po dawnemu hrabia.

Elodyja nie oglądając się, szybko podążyła do swego pokoju— i drzwi na klucz zamknęła cichaczem.

Emanuel niespokojny, cierpiący, smutny— układał swoje rzeczy. Tysiące myśli cisnęło się do głowy—nie oskarżał w niczym Beaty— czytał jej list co chwila z największym uczuciem, ale serce jego szeptało coś skrycie, ból bez nazwy, obcy mu dotąd — opierający się rozumowaniu najsłuszniejszemu. Byłaż to zazdrość po raz pierwszy w życiu? Byłżeto niepokój o los ukochanej lub gniew na potwarców? Zapewne wszystkiego po trosze! Jednak szlachetne uczucie ufności, nie dozwoliło mu rozpaczać i wątpić. Cierpiał — ale wierzył w niepokalany niczym swój ideał — i czekał wyświetlenia potwarzy, którą jak bryłą błota chciano walać jej świetną szatę cnoty. Radlina nie żałował. Ale gdy mimowoli przebiegł myślą sześć przebytych tu miesięcy, w tej atmosferze wonnej i odurzającej, kilka miłych obrazów mignęło przed jego okiem, wspomniał na długie dnie i wieczory spędzone w towarzystwie ludzi których pożegnał zapewne na zawsze —spojrzal smutno na pałacowi —ciche westchnienie wybiegło z piersi. Pożałował przeszłości niepowrotnej — a potym, tej biednej ofiary konwenensów losu i namiętności własnych — ślicznego zepsutego dziecka—hrabiny Elodyi.

— Kim ona się bawić będzie gdy mnie niestanie?—pomyślał —może jaką lalką salonów — co brudnym dotknięciem splami dotąd jeszcze piękną i czystą duszę, tej zapalonej entuzyjastki. Biedna! —Biedne jej dziecię — któremu znów z kolei braknie serca i kierunku matki!

Patrzył smętnie, szepcząc te słowa — a światło w pałacu gasło — dwa tylko błyszczały jak gwiazdki — w pokojach hrabiego i Djoli. Nagle— okna jej pokoju zaległa ciemność — zaświeciło się przelotnie w innych pokojach—w przedpokoju—na wschodach— i zagasło! Równocześnie przestało się świecić u Władysława.

Emanuel patrzył jeszcze z głową na ręku opartą —cichość panowała. Jednak w pałacu jeszcze nie spano. W chwili gdy ujrzał światło przeniesione z pokoju Elodyi, była tam następująca mała scenka.

Hrabia Władysław mając zamiar udać się na spoczynek —rzucił dopalone cygaro i zamyślał dzwonić na Michela do pomocy w rozebraniu — gdy usłyszał czyjeś kroki i ruch lekki w salonie przyległym.—Z niewytłumaczonym niepokojem, wyszedł przekonać się, kto chodzi po pokojach o tak spóźnionej godzinie.—Było to już po północy.

— Kto tu?—spytał oglądając się bacznie.

— To ja! panie hrabio! dał się słyszeć głos panny Bertel i ukazała się jej postać w nieco zaniedbanym negliżu nocnej tualety.

— Co się stało?

— Nic panie hrabio! — Pani hrabina zadzwoniła na mnie, aby jej podać cieplejszą kołdrę, bo jest chłodno! —odparła francuska z naturalnością i właściwemi sobie krygami.

— Czy hrabina już rozebrana?

— Niedawno wróciła od córki — mówiła że jest senną — i zapewne położy się niebawem. Bon soir mosieur le comte.

— Bon soir mademoiselle! —odrzekł hrabia i ucieszony wrócił do siebie.

— Coraz lepiej! —zawołał do siebie radośnie i przyzwał Michel'a.

Panna Bertel tymczasem poszła i wróciła szybko, niosąc na ręku sobolową ciepłą szubę, kapturek, i nieprzemakalne buciki—kołdry nie było — widocznie się pomyliła. Zapukała do zamkniętej drzwi Elodyi —zawoławszy cicho. Otworzono jej — i znów klucz zakręcono w zamku. Sypialnia hrabiny dziwny przedstawiała widok: suknie były porozrzucane —duże zawinięcie leżało na środku pokoju —Elodyja czarno ubrana, z febrycznym drżeniem, kończyła je pakować. Gdy panna Bertel weszła, rzuciła się ku niej wyrywając jej z rąk futro—i ubierając się w nie z pośpiechem.

— Będzie wszystko dobrze pani hrabino! —szepnęła francuska.

— A! nie nazywaj mię tak! — tylko panią poprostu! — Chodź!..... Chodź!..... Prędzej!

Światło niebieskiej lampy słabe rzucało promienie, świece w kandelabrach zostały zgaszone.

Właśnie w tej chwili Emanuel patrzył na ciemne okna pałacu. Zadymka tumanami śniegu zasłaniała je często —niby małym całunem. Wicher rozwiewał go niekiedy — i znów błyszczały wśród ciemności szklannym błyskiem —jak oczy umarłego. Grobową ciszę przerywał nie rozweselając przeraźliwy świst i jęk odzywający się w kominku — na którym tlił się ogień na pół wygasły, — wybuchający czasem nagłym płomieniem za silniejszym podmuchem północnego wiatru.

Nagle, wśród szumu zawiei, rozróżnił wyraźnie zapukanie do drzwi —ciche—szybkie. Emanuel rozmarzony, nastrojony dziwnie smutkiem, samotnością i wpływem zimowego wieczoru niewysławionej ponurości—zadrżał! a pomawiając się o złudzenie — usiadł znów na krześle pod oknem.

Pukanie powtórzyło się — tym razem silniejsze.

— Proszę wejść!—zawołał Emanuel i postąpił ku drzwiom — lecz ledwo się otwarły, cofnął się w tył z wyrazem grozy i podziwu— przed nim stanęła hrabina Elodyja.

Zimny powiew wiatru rozniecił gwałtownie płomień lampy — której szkło rozsypało się z trzaskiem — tylko ogień kominka oświecił mdławo dwie nieruchome postacie, jak dwa marmurowe posągi stojące naprzeciw siebie. Elodyja pierwsza wyrwała się z otrętwienia. Zrzuciła niedbale włożone futro —i składając ręce jak do modlitwy, upadła na kolana wołając:

— Emanuelu! Emanuelu!...

— Pani! — wymówił przerażony — a widząc ją omdlewającą prawie—zbliżył się, podniósł i posadził na krześle. Ona chwyciła ręką czoło —i cisnąc je szeptała:

— Gdzie moja odwaga?... Szał radości?.... Straszno mi!... O! przemów choć słowo do mnie! Boże to okropne milczenie mię zabija!... Miałażbym się mylić?!..

— Pani!... zaczął Emanuel odurzony, zlękły.

---

gimnazyjach prywatnych, zwrócił się do pp. przełożonych z propozycyją, aby ci na nauczycieli do swych zakładów przyjmowali młodzież, która ukończywszy b. Szkołę Główną lub Uniwersytet, od kilku lat bezskutecznie oczekuje na posady nauczycielskie. I my przyłączamy się do tego, ze wszech miar godnego uznania, projektu Tygodnika; wiemy bowiem, że kandydatów, o których mowa, jest bardzo wielu, i że bardzo wielu znajduje się między niemi prawdziwie zdolnych ludzi, którzy mogliby oddać znakomite usługi sprawie oświaty. Gimnazyja prywatne, podobnie jak szkoły publiczne, wymagają energicznych i nieobciążonych pracą nauczycieli, a takiemi właśnie mogą być tylko ludzie młodzi i nieskrępowani innemi obowiązkami.

* * *

Dnia 13 lipca r. b. Dr. Karol Strasburger miał w Miechowie, na dochód osad rolnych odczyt, w którym, zwróciwszy uwagę na obowiązek poprawiania nieletnich przestępców, przedstawił środki do tego celu prowadzące, obznajmił obecnych z programem istniejącego u nas Towarzystwa poprawy nieletnich przystępców, i w końcu zwrócił się do słuchaczy z zachętą do ofiar na rzecz tej instytucyi tak ważnej dla ogółu. Odczyt ten, wypowiedziany pięknym językiem dobre na słuchaczach zrobił wrażenie. Czysty dochód z niego wynosi z górą sto rubli.

* * *

Wydawany we Lwowie „*Przyjaciel dzieci i młodzieży*" z dniem 1 lipca przestał wychodzić dla braku prenumeratorów. Wina spada głównie na brak poczucia potrzeby tego pisma w umysłach rodziców, gdyż *Przyjaciel dzieci i młodzieży* redagowany był starannie. Liczba prenumeratorów dochodziła zaledwie do 200. Za to donoszą nam ze Lwowa, że pani Honorata Łukasiewicz ofiarowała 2,000 guldenów na uposażenie szkoły w Chorkówce, oraz odstąpiła na rzecz tejże szkoły dwie morgi gruntu, zobowiązawszy się własnym kosztem wystawić nadto budynek szkolny—zaś p. Karol Klobassa przeznaczył kapitał 5,000 guldenów na uposażenie szkół w Zrencinie i Bóbrce, oddawszy na ten cel 3 morgi gruntu, oraz większą część kosztów na postawienie w tychże wsiach budynków szkolnych. Wszystkie te trzy wsie leżą w okręgu jasielskim.

* * *

Kamieniec w Lipcu 1873.

Kamieniec! Gród starzec dźwigający na sobie ciężar wieków, świadek zmian tylu! Niegdyś groźnie zamykał swe bramy przed najezdnikami; dziś trzy pozostałe: —Ruska, Turecka i Wietrzna stoją jak grobowce pogrzebanej przeszłości, o której mówią jeszcze napisy i ryte herby, mówi pół-księżyc na katedrze, mówi wysoka kazalnica w Dominikańskim kościele z jednej bryły piaskowca, ręką jednego z wyznawców Mahometa wykuta, mówi sklepiony most turecki na Smotryczu, tak wąski, że dwa powozy obok siebie przejść po nim nie mogą.... Rozebrano bramy dla rozszerzenia miasta i znikają stare budowle, wznoszą się domy nowe, otwierają ulice nowe, a starce ustępują młodym występującym na arenę czynu, tylko, że nowe domy, nowe sklepy, a nawet wszystkie stare *w rynku* należą już do przedsiębierczych dzieci Izraela, w ręku których handel bławatów, a po największej części i wiktuałów spoczywa. Izraelici zagarnęli manopol zysków i bogactwa, dzięki lenistwu, opieszałości i kastowym przesądom chrześcian. Zakładów przemysłowych nie mamy żadnych, chyba trzy liche drukarnie pracujące na zaspokojenie skromnych potrzeb miasta, jednostki tylko czytają, ogó

— Ale!.. więc ty nie kochasz mię?!... krzyknęła z takim jękiem boleści że młody człowiek zadrżał do głębi przejęty.

— Nie! Nie! ty walczysz tylko ze sobą!— O! posłuchaj! miej litość!..... Niema cnoty, przepisu, niema praw Boga, któreby potępiły taką miłość gwałtowną i silną jak przeznaczenie! —mówiła mocując się z sobą. Ja cię tak kocham!... dla ciebie i z tobą żyć pragnę —ha! i cóż to Bogu szkodzi?!.... Oh! mów!.... wszak ty mię kochasz?!...

Emanuel zdrętwiały— cofnął się znowu— i rzekł dobitnie —wyraźnie.

— Ja nie kocham cię pani!

Jęknęła—jakby ją kto zranił sztyletem.

— Czy to prawda coś powiedział—prawda twego serca?

— Prawda!— odparł blednąc.

Rzuciła się znów na kolana:

— O pozwól mi! — Tu u twoich stóp wypowiedzieć wszystko!.. Więc ty mnie nie kochasz? Więc oczy twoje—muzyka, mowa twej duszy i jej miłosne dźwięki, byłyż złudzeniem? sztuką umiejętnością nabytą? Nie! to być nie może! —Tyś dla mnie Bogiem, ty słońcem, niebem, — wszystkim!... Żyję od chwili gdy ciebie poznałam!.. Ty walczysz— ale wiedz, że mię zgubisz, strącisz w piekło rozpaczy—jeśli dla teoryi zechcesz poświęcić uczucie!...

— Nie zabijaj mię!...

— Powstań pani na miłość Boga! Uspokój się.

— Nie powstanę, póki nie przyrzekniesz mi szczerości — i przebaczenia!

— Przysięgam opowiedzieć świętą prawdę!

Elodyja wstała—Emanuel zapalił świecę— widząc jej bladość i drżenie, ujął leżącą szubę—i otulił ją z braterską tkliwością. Rozrzewniło ją to —zaczęła płakać cicho—dziękując mu anielskim wejrzeniem łagodności i pokory.

I on niemniej wzruszony — zajął miejsce obok niej na krześle—wziął jej rękę—biedną, zziębniętą rączkę małą—i rzekł:

— Posłuchaj mię pani—jak siostra brata!.. Tylko bratem mogę ci być — serce moje już do innej należy! — Kocham i jestem narzeczonym!

Elodyja rzuciła się w tył — i zemdlała.

Emanuel zadał cios prawdziwie po męsku. To było za wiele na jej siły. Przerażony chwycił jej ręce — nie wiedząc co czynić. Wody nie było; — nieprzytomny, pochylił się nad zemdlałą, wołając:

— Pani! Elodyjo!... o! mój Boże!... Litości!...

Biedna kobieta otworzyła nakoniec oczy i powiodła obłąkanym wejrzeniem.

— Ty mię niekochasz!. a budzisz do życia! powiedziała cicho. Po co — czy na to abym dalej wlokła opłakane dni nędzy moralnej i męki każdodniowej? — O! — mówiła zapalając się w miarę słów swoich — ty nie masz pojęcia, jakim było i jest moje życie.... Dziecko marzące, tęskne, samotne, niekochane przez nikogo — wydaną zostałam za człowieka, którego przywykłam uważać jak drugiego ojca. Od kolebki żyłam w zepsutej atmosferze, ale byłam czystą i niewinną bo nie umiałam rozróżnić występku od cnoty, nie przejmowałam się złym, bo nie znałam jego znaczenia. Wydano mię, nieświadomą co jest życie, bez samopoznania nawet, z duszą i sercem uśpionym. O! co ja przeszłam!... Niema słów na określenie mojej męczarni!... Mój mąż przejął mię wstrętem, bojaźnią. Znienawidziłam go, od chwili pierwszego pocałunku jego ust skalanych! Uczucia i myśli drzemiące w piersi zbudziły się napełniając ją szalonym chaosem. Wyobrażałam sobie, że jestem pod złym urokiem, i w ciszy mego buduaru, snułam baśń cudowną swego losu, a w niej najgorętszą barwą, krwią mego serca, rysowałam postać ideału, który mię wyzwoli i uniesie z sobą w krainy, gdzie nie będzie ani salonów, ani rodziny, ani śmieszności i przymusu! Wierzyłam że się zjawi, śniłam na jawie jego rysy, tak różne od rysów mego męża. Widziałam w snach jego twarz bladą, szlachetną, jego jasne włosy i oczy niebieskie... I gniewałam się, gdy mi się przyszło wyrwać z tych lubych marzeń, choć na chwilę!... Moje dziecię, córka, ah! ja jej kochać niemogę, ona mi obcą! To dziecię boleści, łez i jęku! Marzenie było mi żywiołem, dotąd, aż ciebie ujrzałam!... Ciebie, tegoż samego o którym śniłam, którego nie znając, przeczułam w snach moich! Każde twoje słowo, rozwijało myśl i czucie moję! Kocham cię! wielbię!.. ubóstwiam jak świętość!... Zdawało mi się, oh! błogie złudzenia! że i ty mię kochasz, lecz twoje zasady najwyższej cnoty, każą ci zwalczyć miłość. Bez wahania przybiegłam, życie i serce złożyć ci u stóp! wymodlić szczęście i pobłażanie!... Ty mię odtrącasz!.. ty mną może gardzisz?... ah! jakaż męka szalona!...

— Ja cię żałuję biedna kobieto!... powiedział z bólem Emanuel. Cierpię nad tobą, rozumiem cię i chciałbym pocieszyć to serce nieszczęśliwe! Okropne przeznaczenie nadało niedolę!... Na twoje wyznanie mogę tylko odpowiedzieć słowami współczucia i nauki o surowych i twardych obowiązkach życia! Nie kocham cię lecz gdybym cię był kochał nawet, wzgardziłbym sam sobą, jeślibym korzystał z twego uniesienia i słabości!... I wtedy wskazałbym ci krzyż Chrystusowy i cierniową koronę, jako wzór do naśladowania! Masz dziecię, dla niego żyć powinnaś. Szczęście tylko w miłości wzajemnej się mieści, lecz spokojne zadowolnienie w wypełnieniu swego zadania na ziemi!...

— Emanuelu! wyrwij mię stąd! Podnoszę do ciebie dłonie jak z przepaści! Sługą ci będę! O! daruj mi! ale jam nie dorosła duchem do takiej wyżyny! Zanadto jestem skalana ziemskością!... Tyś wielki! silny... Jam słaba, ja kocham cię całą istotą swoją! Wielbię twoję szlachetność, ale ukochałam nad wszystko twój głos i twe usta, co mówią te słowa, i twe oczy i twą postać. Weź mię z sobą; będę pracować, pod twoim kierunkiem. Jak niewolnica żebrać będę twego zadowolnienia, zrobię co każesz!... Nie chcę tu zostać dłużej! Wszakże ty bronisz praw kobiet pracujących; tutaj nie mam dla siebie żadnego żywiołu! O! wspomóż mię!... błagała ze łzami. *(d. c. n.)*

NASI POWIEŚCIOPISARZE.

V.

Eliza Orzeszko.

(Ciąg dalszy).

Bardziej już specyjalną, choć niemniej donosłą myśl przeprowadza autorka w powieści „Cnotliwi". Sięga tu ona do gruntu kwestyj moralnych: analizuje składowe pierwiastki opinii publicznej, odkrywa tajemne pracownie zapoznanej cnoty i zdziera maskę z oblicza fałszywych cnotliwców, — słowem przenosi na grunt polskiego partykularza

---

nie czuje żadnej tego potrzeby. Poważne książki i poważne pisma to bardzo fenomenalne okazy. Bluszcz i Tygodnik romansów i powieści jak wszędzie tak i tu zyskały prawo obywatelstwa i cieszą się uwielbieniem łaskawych czytelniczek. Pismo inne, to przedmiot zbytku, bo i na cóż ono? przejrzy się je pobieżnie u drugich, jeśli niema powieści, nudne, przydać się może chyba pod placki, lub na formę do modnej *turniury*. Szkoda na nie pieniędzy!... Salonowe towarzystwo rozpada się na dwa nieprzyjazne stronnictwa: zwolenników i przeciwników Darwina, zwolenników i przeciwników emancypacyi kobiet, pozytywistów i idealistów. Przedmioty te mają popularną wziętość. Na wszystkich też zebraniach, we wszystkich kółkach rozprawiają o nich zawzięcie; kobiety są odważniejsze i pierwsze występują w szranki zaciętej walki na słowa, i nie dziw bo więcej czytają, zasilając się jak mogą: pożyczając choćby od znajomych bądź pism peryjodycznych, bądź dzieł popularno naukowych. Faktem pocieszającym jest budzące się w pracującej klasie zainteressowanie się nie nauką, bo to jeszcze zawcześnie, ale książką, mężczyźni i kobiety jedni przed drugiemi na wyścigi uczą się czytać, umiejący czytać probują potrosze pisać co musi wpłynąć zbawiennie na podniesienie godności i moralności zapomnianych i pogardzanych dotąd biednych braci naszych. Gdyby każda gospodyni domu położyła sobie za zadanie nauczyć czytać zmieniające się kolejno służące, a panowie zajęli się męską usługą, za lat kilka jakże świetną cieszylibyśmy się w tym względzie zmianą! Nie takie to trudne rzeczy—dosyć jednę na dzień poświęcić godzinę, a zyskałoby się uczciwe i przywiązane sługi. Przejdźmy teraz do kwestyi higienicznej. Miasto wznoszące się na skale, ciasne, mające z górą 20,000 ludności, i stosunkowo nadzwyczaj małą ilość drzew, zaniedbane, przepełnione żydkami, nieporządek sprzyjający rozwijaniu się miazmatów trujących, latem brak kąpieli, brak dobrej wody do picia, lokale drogie i ciasne, w tych ciasnych lokalach nadmierna liczba pracujących rzemieślników lub liczne ubogie rodziny a okna wychodzące na ulicę, gdzie ściany ze ścianami spojone, lub na brudny, duszący wąski jak korytarzyk dziedziniec, drożyzna artykułów do życia i kompletna nieznajomość higieny i to w klasie zamożniejszej mieniącej się inteligentną, składają się na to, że śmiertelność zwykle bywa tu bardzo stosunkowo znaczna. Do przechadzek i zaczerpnięcia świeżego powietrza, mamy tu ładny bardzo bulwark obsadzony drzewami, porządnie trzymany i okolony najpiękniejszym krajobrazem, ale panie tutejsze rzadko używają przechadzek i pokazują się na bulwarku wtedy tylko kiedy gra muzyka, i po to tylko jedynie, aby zaprezentować modną toaletę.

Jedna ważna niedogodność mogła być przed kilkoma laty usuniętą, bo jakiś przedsiębiorca podejmował się sprowadzić źródlaną wodę do miasta za bardzo przystępne wynagrodzenie, ale władza municypalna uważała je za zbyt wysokie, i nie czuła się obowiązaną zaradzić tej niezbędnej potrzebie mieszkańców, choć miasto może rozporządzać znaczną sumą rocznie. Żebraków tu tłumy roją się po ulicach, chociaż są domy dobroczynności dla nieszczęśliwych, co pracować nie mogą. Pomiędzy niemi jest wielu zapewne prawdziwie biednych, ale jest dużo i takich coby pracować mogli, jednakże nikt im nie przeszkadza wolą żyć cudzym kosztem. Tak jednak być nie powinno i warto-by raz przecie zwrócić na to uwagę.

Kl. Prz....a.

obrazkową podobiznę nieśmiertelnej walki Chrystusa z faryzeuszami. Postaci stanowiące satyryczny wykładnik przewodniej myśli są to przedewszystkim kobiety; mężczyźni usuwają się na plan drugi. W gronie tym znajdujemy niektóre charaktery jakby żywcem wykrojone z ram rzeczywistości. Niezrównaną jest nadewszystko, wraz z całą artystyczną zbroją pomocniczych profilów, postać dewotki „Antyfony", która modłami i publiczną jałmużną kołace do nieba, gorszy się lada pozorem nieprzyzwoitości, i jednocześnie złośliwym językiem szarpiąc sławę bliźnich, przez próżniacze samolubstwo gubi męża i zaniedbuje dzieci. Obok tej hipokryzyi, ubranej w strzępki kościelnych efektów, przedstawia nam autorka farbowaną *cnotę* wielkiego tonu i zacisza domowego, pod tytułami kobiecych imion Olimpii i Teresy. Moralność pierwszej polega na zachowaniu dumnej wobec ludzi postawy i rytmiki wypowiadanych myśli, moralność drugiej—na głośnych wyznaniach wiary małżeńskiej, moralność obu—na pozorze i obmowie. Zabarwiony lekkim humorem satyryczny wątek utworu nadaje się wybornie do potrzeb scenicznych i w głównym skielecie przedstawia dobry przedmiot do komedyi. W luźnej tymczasem od tego światku zależności kleci się romans opiewający dzieje młodego serca. Romans ten wobec silnego satyry towarzyskiej kolorytu zajmujący w „Cnotliwych" drugorzędne miejsce,—w połączeniu z odcieniem tej samej przewodniej myśli i pewną modyfikacyją charakterów, stanowi główny rys innego utworu p. Elizy p. t. „Ostatnia miłość". Powieść ta zostaje z poprzednią w dosyć ścisłym związku i różni się od niej odwrotnym tylko ustosunkowaniem danej filozofii etycznej do danego romansu. Satyra opinii towarzyskiej na partykularzu nadaje szerszy cel bytu obu utworom; o ile jednak w „Cnotliwych" świeci słonecznym blaskiem i panuje nad wplecionemi w nią dziejami serca, o tyle w „Ostatniej miłości" do księżycowego podobna promienia, stanowczo ustępuje romansowi.

Ściślej oderwaną i bardziej wyjątkową tendencyją starała się wypowiedzieć autorka w powieściach: „Na dnie sumienia" i „W klatce". W pierwszej z nich usiłuje dowieść, że „ludzie bywają niekiedy lepsi od swych czynów"; że jedna chwila panowania chorobliwie rozwiniętej namiętności może uspić ich samowiedzę, zagłuszyć sumienie, — lecz jeśli kiedyś w odpowiednich życiowych warunkach pogonią za osobistym, gruntującym się na prawdzie szczęściem, to widma przeszłości staną im na drodze, i będą się niechybnie domagać spłacenia długu, odkrycia fałszu, zadzierżgnięcia zerwanej z naturalnym i społecznym prawem spójni. Główny bohater powieści, Anatol Dembieliński, młodzian o gorącym sercu i otwartej głowie, pod wpływem zawiedzionych nadziei, obrażonej dumy i chorobliwie wygórowanych uroszczeń, popełnia znaczną kradzież pieniężną w stołecznym banku. Bezpośredni owoc tego czynu stawia go na pierwszym szczeblu drabiny wyśnionych zaszczytów: a gdy po latach wielu, okryty wawrzynami powraca do koła dawnych znajomych, aby wielkością swoją przed oczyma przeniewierczej kochanki zabłysnąć, znajduje tam rosnące cierniem na cudzej niwie gorzkie a nienagrodzone skutki występku i jednocześnia poznaje kobietę, która w innych warunkach mogłaby mu szczęście domowe zapewnić. Po długich z samym sobą walkach przyznaje się do winy, ulega sądowym tego kroku następstwom, a ta która wybrał, przejednana wzniosłością ostatniego czynu, idzie z nim razem na wygnanie. Rysy tej postaci, zarówno jak i drogi po której kroczy, są wyjątkowe, kosmopolityczne, niemające nic wspólnego z żadną kategoryją narodowych i miejscowych typów. Światy czynnego działania i biernej wegietacyi występują tu w pewnej odmianie z tą samą co i w innych powieściach plastyczną siłą, a jedyną ich indywidualną cechą jest jakiś trochę cudzoziemski, krewny francuskiemu romantyzmowi koloryt. Znajdujemy i tu jednak miejscowy grunt,—żywotne, po raz pierwszy dotknięte przez powieściopisarkę pole. Jestto mozajkowa panorama powiatowej biurokracyi, artystyczna kopija oryginalnego powikłania napółmartwych stosunków urzędniczego świata. Jedna z odrysowanych w tym kole postaci—pan Walery—zgrzybiały na krześle kancelisty manijak przypomina żywo podobną figurę z arabeski niezrównanego w rosyjskiej literaturze Gogola. Typy nieśmiertelnych kancelistów, jakkolwiek u nas rzadkie niedawno wyrobione i na szczęście już powoli z ram życiowych niknące, mają prawo w naszych powieściach zająć miejsce obok innych typów, aby ku ogólnemu pożytkowi służyły za objaśnienie kresów, do jakich mechaniczna praca biurowa zdrowy organizm człowieka doprowadzić może. Najważniejszym jednak znamieniem oryginalności tego utworu jest trzeźwy, prawie systematyczny wykład błędnych dróg wychowania domowego, praktykowanych przez naszę średnią urzędniczą klasę. Tu jak i wszędzie dobry lub zły los dzieci zależy głownie od charakteru i stopnia oświaty pierwszych kierowników, od wzajemnego w małżeńskim stadle stosunku rodziców. Autorka na każdej karcie przyznaje, że powszechną wadą pierwszych kierunków, jest rażąca ich niezgodność, połączona często z nieustającą podnietą do próżnowania, owym ziarnem jałowości ducha, wyrażającej się później w umysłowej tępocie, obłąkaniu lub występku, we mglistym, wyczekującym manny z nieba, lub wstrętnym, tygrysim charakterze. Ujemną wogóle stronę wszelkiego wychowania, stanowi jej zdaniem brak w duchowym łonie rodziny twórczego pierwiastku miłości i pracy. Nieobecność tych czynników na wychowawczym gruncie rodzin arystokratycznych wytwarza charaktery pustych o zużytym organizmie lalek, lub farbowanych jak pan Graba oszustów salonowych. W średniej klasie te same, wyhodowane pod właściwemi warunkami typy do odpowiednich tylko ram się układają: salonowiec przyjmuje postać brukowca, oszust *w dobrym tonie* — karczemnego złodzieja lub pokątnego lichwiarza. Głównie jednak zajmuje autorkę sprawa wychowania kobiet-mieszczanek. Przedstawia tu ona we właściwym świetle przyczyny i następstwa owej fikcyjnej edukacyi panien, polegającej na znajomości tańca, najniepotrzebniejszych robótek i francuskich romansów, — a wyprowadzając na społeczną arenę siłą zewnętrznych sytuacyj jednę z najwdzięczniejszych wychowanek tej sfery, ukazuje śród żyznych pracy powiatów smutną granicę najniższych posług, pozostawioną dla wątłych istot, nieprzygotowanych do samodzielnego życia a wykolejonych z rodzinnego gniazda...

(D. c. n.)

ZNAD BRZEGÓW SEKWANY.

(Dalszy ciąg).

Wojna posiada swój urok, swoje piękno. Nieraz zniewieściałe wnuki, patrząc na marsowe oblicze pradziada, podziwiają miecz ciężki, którego unieść nie mogą, i drżą na wspomnienie niebezpieczeństw, wśród których wyrastały całe pokolenia, przyrosłe niejako do siodła, zawiędłe w trudach i niewygodach. Może to były wpół dzikie czasy, kiedy koń był drożbą junaka, szabla wypróbowana na karkach nieprzyjaciół, powiernicą, a dzielne i odważne serce skarbami. A jednak kiedy przy kominku w zimowy długi wieczór, osiwiały wojak zasiędzie i pocznie gwarzyć o tych czasach, dla czegóż słuchamy go z takim zajęciem, dla czegóż w naszych żyłach zakrąży krew szybciej i zatrzepoce serce jak ptak w klatce, do tych szerokich pól, do tego wichru szumiącego lasem chorągiewek, i do świstu kul, do dział grania i dźwięku bojowej pobudki. Znikają powoli ze społecznego grona owe postacie o groźnej twarzy a sercu miękkim jak wosk, sercu wielkim, uczciwym, szlachetnym i dzielnym....

Była to epoka mająca wiele poezyi i bogatsza w materyjał dla artysty lub pieśniarza niż wiek dzisiejszy, ale była to epoka, gdzie niby w otchłań wpadały wielkie poświęcenia i wielkie czyny i ginęły bez pożytku, „nikły jak droga perła w czarze Kleopatry." Lukullusową ucztę zgototował sobie gienijusz boju, ludzkość wychyliła kielich gorzki, wylała strugi łez, potoki krwi, zawrzała jak wezbrana rzeka, rwąc nurtem brzegi, niszcząc co było na drodze. I powróciła napowrót w dawne koryto, tocząc powszednie sprawy spokojnym nurtem; ale ta ludzkość odmieniła swój charakter, dojrzała, nauczyła się wiele. Polityczne przewroty obecnej chwili, choć stokroć donioślejsze w skutkach, nie czynią tak wielkiego rozgłosu. Czyny jednostek nikną w masie, rachuba i sztuka zastąpiły męstwo, żołnierz zeszedł na maszynkę, której główną sprężyną karność, celne strzały, krew zimna i ścisłe trzymanie się bakalarskich przepisów. Moldkowie i Bismarki opięli w mundur milijony cywilizowanej dziczy, potomkowie zwycięzców Austerlicu i Jeny zapomnieli o przeszłości za kantorkiem episiera, zgnuśnieli w puchach dobrobytu i wygódek; dźwięk złota zagłuszył wrzawę wojny, chęć zysków wyrugowała wojowniczego ducha, i Francuz, co to już w kolebce zdradzał dzielnego żołnierza, co drżał na widok munduru i bagneta, spokojnie przypasał fartuch przekupnia i nałożył szlafmycę sybaryty. On Francyją kocha miłością metresy, czującej pugilares pełny na piersi czasowego kochanka; on Francyją kocha jak swój letni domek urządzony z komfortem i szykiem, jak pulardę z truflami i szumiący kielich szampana. Więcej myśli o powodzeniu stronnictwa do którego należy, więcej myśli o czerwonej wstążeczce dekoracyjnej, o ziszczeniu świetnych nadziei osobistych, o rozgłosie, reklamie, dostojeństwach i blasku sławy, niż o szczęściu społecznym, które dla dusz szlachetnych celem życia, relikwiją świętą, ideją, za którą iluż bezowocnie goni, jak za snem złotym, za rajskiem widzeniem..... Są ludzie co chętnie przypinają anielskie skrzydła do szpetnego ziemskiego cielska, co skrzyżowawszy dłonie na piersiach, pozują na istoty karmione ideałami, istoty co niby ostatni rycerze ze skargą na ustach spoglądają na poziomą teraźniejszość, i wołają wielkim głosem „patrzcie, to my wielcy i my zacni, takich już zabrakło między wami." Nie braknie podobnych osobników we Francyi, nie brakuje w żadnym społeczeństwie, i to są ludzie najszkodliwsi, bo w imieniu najświętszych zasad, walczą podstępnie o poziome osobiste cele. Tak myślałem patrząc w galeryi Wersalskiej na kapelusz mego sąsiada jezuity, tak myślałem topiąc wzrok w płótna przedstawiające epizod dziejowy, gdzie z ludzi warsztatu wyrabiały się bohatery, gdzie co chwila nowy wyrastał talent, nowa zdolność, których dzi-

siaj napróżno Francyja wygląda. Trójgraniaste kapelusze i system opieki, dzielne wychowały pokolenie! Czyż nie lepszą była ta chwila, kiedy Volney pisał swoje „Les ruines,“ niż czasy nad któremi ubolewał Alfred de Musset; kreśląc „spowiedź dziecięcia wieku“ lub „Rollę?“ Kto gasi światłość, ma ciemność, w ciemności płodzi się upadek, mierność i zbrodnia, wegetuje rój pasożytów, toczący ciało społeczne łakomą paszczą, powiewają idealne szaty kryjące brzuch pełny, pustą głowę, podłą duszę....

Wybacz szanowny czytelniku ten może przydługi monolog, ale niepodobna zamilczeć tego co bolesne, niepodobna nie pożałować drugich, co własną dłonią zgotowali sobie przykrą i upokarzającą dolę.

Porzućmy lepiej okryte malowidłem i złotem ściany, choć daremnie szukałbyś gdzieindziej tego przepychu i gustu, tego bogactwa olśniewającego oczy. Czeka nas nowa niespodzianka. Godzina oznaczona nadeszła, wodotryski puszczono, pójdźmy do parku Wersalskiego. Przechodzimy platformę zbudowaną z kamienia i po schodach zstępujemy na dół. Na spadku góry podzielonym na trzy kondygnacyje, znajdujemy liczne fontanny, tryskające strumieniami srebrzystej wody. Sztuka wysiliła się na przeliczne kombinacyje.

Kazała perlistym sznurkom wiązać się w bukiety, kręcić wirowato, rozbiegać, rozpryskać na milijony kropel, lub szerokim białym słupem bić w górę na stóp kilkadziesiąt. Piękny to widok, kiedy te wodne bukiety, oświeci jasny promień słoneczny, i przyodzieje tęczowemi barwy. Przecudowna gra światła pieści oko, odbijając od ciemnozielonej ściany gęstych szpalerów i od gazonów pokrytych wzorzystemi kląbami kwiecia.

Park dzieli się na dwie połowy. Przez środek jego prostopadłe do zamku, ciągnie się szeroka dolina zapełniona jeziorami. Stojąc na platformie, wyniesionej na kilka pięter nad poziom, widzi się w dole cały ogród rozpostarty na równinie, i gdzieś daleko na krańcu doliny, rozległe pola, i rozrzucone tu i owdzie wioski. Piękne szerokie aleje rozchodzą się w różne strony parku. Szczyty drzew nachylone ku sobie, formują jeden cienisty ziolony dach. (*D. c. n*).

Korespondencyja Opiekuna Domowego.

Kraków, 24 Lipca 1873 r.

Akademija Umiejętności w Krakowie, której zadaniem jest skupienie najżywotniejszych sił umysłowych musi interesować każdego miłującego naukę. Postanowiliśmy przeto zaznajomić czytelników waszych z zasadami tej naukowej instytucyi, oraz z objawami życia, jakie dotychczas postrzegać się dają.

Akademija dzieli się na 3 wydziały: filologiczny, historyczno-filozoficzny i matematyczno-przyrodniczy.

Pierwszy tedy wydział badać obowiązany filologiją i lingwistykę polską i słowiańską, historyją piśmiennictwa powszechnego, a w szczególności polskiego, i historyją sztuki.

Drugi wydział badać będzie umiejętności filozoficzne, polityczne, prawnicze, historyczne i archeologiczne.

Nakoniec trzeci—umiejętności matematyczne, przyrodnicze z pieografiją, i lekarskie.

Każdy wydział odbywa co miesiąc posiedzenia, na których czytają się rozprawy odpowiednie umiejętnościom, których badanie wchodzi w zakres oddziału. Nadto, każdy wydział, dla nadania silniejszego popędu zadaniom i kierunkom naukowym i zakresu odpowiedniego jego przeznaczeniu, ustanawia osobne komisyje pod nazwiskiem akademickich.

Komisyje te dzielą się jeszcze na sekcyje odpowiednie.

Każda komisyja i każda sekcyja mają swoje oddzielne posiedzenia, tworząc niejako odrębne, specyjalne towarzystwa, składające się z osób prywatnych, do akademii nienależących, wybranych przez komisyją, a przez odpowiedni wydział potwierdzonych.

Wydział, komisyja i sekcyja mają swoich przewodniczących i sekretarzy. Dygnitarzy więc nie brak. Przewodniczącym w komisyi może być jeden z członków zwyczajnych akademii — on tedy łączy komisyją z akademiją i nadaje kierunek jej działalności stosownie do regulaminu. Przewodniczącym zaś w sekcyi może być jeden z członków komisyi.

Taki podział jest dobry, bo otwiera możność pracowania w obranym przez siebie zakresie każdemu prywatnemu nawet człowiekowi, zgoła do akademii nienależącemu, a nawet prawie i nadziei nie mającemu, ażeby kiedyś mógł dostąpić tego zaszczytu. Członkowie komisyj przeto godni są uwielbienia, bo wielu z nich pracuje jedynie dla nauki i wątpić nie można, że nauka skorzysta z tej pracy, byleby akademija mądrze urządziła się i dopomagała im otwierając swe zbiory naukowe w każdym czasie, ogłaszając ich prace swoim kosztem i wynagradzając w miarę możności. Bo też akademija głównie tylko na prace komisyj liczyć może — nasze powagi nie wiele już napiszą, młodsi zaś akademicy piastując po kilka urzędów i godności [1], nie wiele mają wolnego czasu do głębszych akademickich badań i studyjów.

Mówiliśmy o dobrych stronach wewnętrznego ustroju akademii—ale są i złe. Rozdrabniając się na tyle części i cząsteczek, akademija obudziła wszystkie nasze wrodzone namiętnostki, dała pochop do rozmaitych wybryków ambicyi i samolubstwa, z czego wyradzają się intrygi, zawiść, niechęć, ba! nawet nienawiść. Nienawidzą się między sobą nietylko członkowie tego lub owego oddziału lub komisyi — ale nawet same komisyje nienawidzą się pomiędzy sobą.

Słowem zawiść, ambicyja, prowincyjonalne absurdy, w które Kraków tak jest bogaty, na wierzch występują, górę biorą i sprawę paraliżują. Widzimy tego codzienne przykłady nie w jednej akademii. W akademii niema nawet jeszcze zbyt widocznych objawów, —owszem; zdawałoby się, że wszyscy troszczą się tutaj o dobro ogólne. Są już jednakże objawy cząstkowe; wiele grzechów Towarzystwa naukowego, tradycyjnie przechodzi i do Akademii i tu już bruździć zaczyna. Pan N. np. nienawidzi pana NN., a więc z nim razem zasiadać niechce. Tymczasem potrzeba np. utworzyć komisyją do jakiej specyjalnej pracy, do której i p. N. i p. NN. są potrzebni. Nie idą, a jeżeli się zejdą, to się skłócą...

W końcu już sam ustrój Akademii, dobry skądinąd, dopomaga niejako do pozbawienia solidarności. Istnieje np. sekcyja taka i taka i pracuje gorliwie—ale już komisyja do której należy, wcale jej nieobchodzi. Komisyja nie troszczy się o wydział, działa na swoję rękę; wydział znów zasklepia się w sobie i niedba o inne wydziały. Zdawałoby się, że takie rozdwojenie nie może psuć harmonii; że skoro każdy pracuje w swoim zakresie—tym samym dopomaga do ogólnego rozwoju całej instytucyi. A jednakże tak nie jest. Każdy wydział, każda komisyja, każda sekcyja nawet działają na swoję rękę, a właściwą Akademiją stanowią—jej prezes i sekretarz jeneralny.

Zaiste, zadanie ich nader trudne. Dla nich nie istnieją wydziały, komisyje, sekcyje — tylko Akademija z jej poddziałami. Od nich więc zależy [2]) nadać kierunkom, pracom i dążnościom harmonijną całość.

Że panowie Majer i Szujski mają głowy, rozum, wiedzę — o tem wiedzą wszyscy, mówią o nich także, że to ludzie zacni, kochający naukę. Czy jednak mają dość taktu i nieugiętej siły woli, ażeby mądrze kierować tak ważną instytucyją, tego nie wiemy. Fakty i objawy zaś dotychczasowe niczego nas jeszcze nauczyć nie mogą. Słyszymy jednak dość często utyskiwania na brak pomocy naukowych, na jakąś zawisłość prawie, w jakiej zostaje wielu z tych, którzy dla tych lub innych przyczyn nie mogli dostąpić zaszczytu zostania członkami zwyczajnemi. Śmieją się tu, że członkowie zwyczajni—to gienerałowie; nadzwyczajni—zaledwo kapitanowie—a członkowie komisyj—porucznicy tylko. Zwyczajna to kolej na świecie—wszędzie są gienerałowie, kapitanowie i porucznicy, ale młodzież np. uroiła sobie, że ta rangowa klasyfikacyja niepowinnaby zbyt jaskrawo się odznaczać w instytucyi czysto naukowej.

Mówią nakoniec, że prezes i sekretarz w wielu razach są skrępowani regulaminem akademickim. Tak np. napisał ktoś z członków sekcyi czy komisyi rozprawę. Oświadczają mu, że rozprawa dobra, ale regulamin niepozwala drukiem jej ogłosić. Co to za ptak taki ten regulamin—pojęcia nie mamy. Jest to jakaś wyrocznia dla samych tylko wyższych dygnitarzów akademii. Stąd powstają kolizyje, zniechęcenia. Autor rozprawy poniekąd słusznie dowodzi, że regulamin akademii powinienby rozszerzać zakres jej czynności, a nie tamować drogę rozwojowi.

Może za szeroko rozpisaliśmy się o zakulisowym życiu naszej Akademii, ale korespondent powinien notować wszelkie objawy tego życia.

Idźmy dalej.

W wydziale *pierwszym* dyrektorem jest prof. *Dr. Mecherzyński*, sekretarzem znany bibliograf *Dr. K. Estreicher*. Dla językoznawstwa polskiego mają głębokiego znawcę i badacza: *Dra Skobla* oraz p. K. *Witte*; dla filologii słowiańskiej—nikogo; dla filologii ogólnej, szczególnie starożytnej, prof. *Dra Brandowskiego*, znakomitego znawcę i pracownika na tym polu, który jednak akademikiem zwyczajnym nie został. Specyjalisty w rzeczach historyi piśmiennictwa powszechnego — nie ma żadnego. Historyją sztuki reprezentują: prof. *Dr. Łepkowski, Łuszczkiewicz* i *Siemieński*. Przy tym wydziale istnieją komisyje językoznawstwa, biblijograficzna i historyi sztuki. O działalności pierwszej nie słyszeliśmy; w biblijograficznej przewodniczący p. *Nowicki*, który najwięcej się przyczynia do wydawnictwa bibliografii *Estreichera*. W komisyi Historyi Sztuki: przewodniczący *Siemieński*, sekretarz *Łuszczkiewicz*. Autor zaś historyi sztuki, *Łepkowski*, jako akademik zaliczony do I wydziału, wcale do tej komisyi

[1]) Tak np. najdolniejszy z nich p. Józef Szujski jest członkiem i sekretarzem gieneralnym Akademii, sekretarzem 2-go wydziału, przewodniczącym dwu sekcyj komisyi historycznej, głównym redaktorem sprawozdań i roczników akademickich, najczynniejszym współredaktorem przeglądu polskiego, profesorem historyi polskiej w uniwersytecie, posłem na sejm, a nadto wszystko musi jeszcze pisać dramaty, poezyje i t. d., bo jest poetą i nakoniec, co najsmutniejsze jest człowiekiem bardzo wątłego zdrowia.

[2]) My nie mówimy o *Zarządzie* — do niego wchodzą oprócz prezesa i sekretarza jeszcze 3 dyrektorów wydziałowych, poważnych starców, wielce zasłużonych, troszczących się o interesy swoich wydziałów, ale prawie nie biorących szczerego udziału w ogólnym zarządzie.

nie należy. Ozdobą tej komisyi jest *Kossak.* Niegdyś należał i Matejko, jako członek Tow. Nauk, z utworzeniem zaś Akademii odesłał swój dyplom, chociaż z prawa służyła mu godność akademika nadzwyczajnego.

W wydziale *drugim* dyrektorem prof. *Dr. J. Kremer*, sekretarzem prof. *Dr. Szujski.* Przy tym wydziale istnieją komisyje—historyczna i archeologiczna. W pierwszej przewodniczącym jest *Dr. Walewski*; dzieli się ona na dwie sekcyje, w obu kierownikiem i przewodniczącym jest prof. *Dr. J. Szujski.* Pierwsza sekcyja zbiera historyczne materyjały do czasów Zygmunta starego, druga do dziejów dalszych. Obie sekcyje liczą kilkudziesięciu gorliwych, najwięcej młodych pracowników. Prace podzielone umiejętnie a wątpić nie można, że plony będą obfite. W komisyi archeologicznej przewodniczącym jest prof. *Dr. J. Łepkowski* (pożyczony z wydziału 1go), sekretarzem p. *Umiński.* Dzieli się także na dwie sekcyje, a mianowicie—ogólnej archeologii i sekcyi wykopalisk. W tej ostatniej przewodniczy Michał hr. *Sołtan.* Filozofiją w wydziale drugim reprezentuje *Dr. J. Kremer* (jedyny); Prawo ma kilku młodych zdolnych przedstawicieli; ekonomija polityczna znakomitego profesora *Dr. Dunajewskiego;* historyja — *Drów Walewskiego* i *Szujskiego*; archeologija *Dra Łepkowskiego* jako profesora tejże w uniwersytecie, *Dra Żebrowskiego* i *A. H. Kirkora*, a nadto znanego numizmatyka i gorliwego badacza senatora *Hoszowskiego.* Sekcyja wykopalisk złożona z ludzi szczerze poświęcających się archeologii, a przedewszystkim nauce o pierwotnym człowieku, jako to: Hr. *Sołtana, A. H. Kirkora, Dra Kopernickiego, p. Umińskiego* i *J. N. Sadowskiego.* Do tejże sekcyi należy znany wydawca Roczników archeologicznych *Dr. S. Krzyżanowski.* Każdy z nich znany już jest z prac swoich na tym polu.

W wydziale *trzecim* przewodniczącym jest *Dr.Dietl*, sekretarzem prof. *Dr.Biesiadecki.* Obaj należą do europejskich znakomitości. Dodajmy do tego głośne i znane imiona prof. *Drów Teychmana, Nowickiego, Piotrowskiego* i kilku innych, a możemy mieć wyobrażenie jak dobrze uposażony ten wydział. O pracach tego wydziału powiemy kiedyś szerzej.

Akademija wydała już sprawozdanie z pierwszych dwu posiedzeń publicznych. Takie sprawozdania wychodzić będą stale i odbijać mają ruch umysłowy całej Akademii, podając dokładne streszczenie prac ze wszystkich wydziałów. Prace ściśle umiejętne będą ogłaszane in 4to w Rocznikach Akademii.

Widzicie przeto, że zawiązek dobry. Czekajmy więc. 14go b. m. odbyło się posiedzenie komisyi akademickiej archeologicznej. Opowiadano nam, że p. *Kirkor* przez dwie i pół godziny czytał sprawozdanie z ostatniej swojej wycieczki archeologicznej w Chrzanowskie, przyczym złożył akademii do jej muzeum przeszło 150 zabytków, jako to: urn, bronzów, broni i ozdób żelaznych, kości jakichś przedpotopowych zwierząt, kości ludzkich niedopalonych, przedmioty znalezione w odkrytym palaficie, prześlicznie wykończone strzałki krzemienne i t. d. Miało to być nader świetne posiedzenie, a obfitość przywiezionych zabytków w zdumienie wprawiała. Sama rozprawa ma się odznaczać wielką dokładnością i była przyjęta z ogólnym zadowoleniem. Jeden tylko profesor gieologii *Dr. Alt* oponował p. *Kirkorowi* i jak nam opowiadano robił tak dziwaczne i nielogiczne zarzuty, w kwestyjach, których zgoła nierozumie, że się okrył śmiesznością. Bliższych szczegółów podać wam nie możemy, ale zapewne sprawozdanie będzie ogłoszone drukiem, wtedy o nim napiszemy. Wiemy tylko, że p. *Kirkor* badał jaskinię, stacyją krzemienną, palafit, kilka grodzisk i kilka cmentarzysk pogańskich. Gazety zaś tutejsze doniosły, że dla rozszerzenia badań w ciekawej tej miejscowości p. *Kirkor* wraz z całą komisyją przez Akademiją delegowaną—pojadą znowu w tamte strony. Inni znów dowodzą, ale to złe języki, że jakoby nie wszyscy są zadowoleni z tych odkryć, choć odgrywają rolę zadowolonych; że woleliby to wszystko zatrzeć, nie dać temu rozgłosu i t. d. No, ale może to tylko ploteczki miejskie... Czekajmy rezultatów.

Z cholerą od kilku dni już lżej u nas, może dla tego, że upały minęły, w powietrzu jednak zawsze jest coś duszącego, przykrego, choć może to nam ze strachu tak się wydaje.

U. G.



„Macocha," z podań XVIII-go wieku, *spisał J. I. Kraszewski.* Warszawa, 1873.

Naród i rodzina, to dwie formy bytu społeczeństw, dwa naturalne czynniki moralności i postępu, dwa bieguny osi, około której obracać się winno życie każdej ucywilizowanej jednostki. Rodzina jest pierwiastkiem, najprostszym składnikiem narodu, który dojrzewając i starzejąc się—podnosi, lub poniża ją swym tchnieniem. Gdy naród wygasa, rozwiązuje się rodzina; pierwszym zaś krokiem do odrodzenia narodu jest umoralnienie rodzin.

Pojął dobrze tę prawdę znakomity nasz powieściopisarz i wyrzeźbił ją w półcieniu z właściwą sobie artystowską siłą, na zakrzepłym tle minionego stulecia.

Powieść sama odznacza się prostotą pokroju i jako utwór sztuki nie ma w sobie nic oryginalnego. Charaktery, jakie w niej spotykamy, są wogóle z niejaką modyfikacyją i małym dodatkiem akcesoryjów, powtórzeniem już nam znanych, a powieściowe koleje łatwo, przy czytaniu, naprzód według ogólnej modły, dają się przewidzieć. Dwa np. portrety, kobiecy i męski, przedstawiające niby sparodyjowane typy nowożytnej Dalili i Samsona, są tylko słabą reprodukcyją postaci odmalowanych w „Orbece" i innych tegoż powieściopisarza utworach.

Jestto jednak, mimo pozorów, rzecz zupełnie nowa, cenny obraz w starych ramach. Autor, jedną ręką odtwarza ponure dzieje żyjącej na zapadłym Polesiu rodziny Dobków; drugą kreśli kontury społeczne o rozleglejszej skali i charakterystyczne urywki z dziejów cywilizacyi narodu; odgrzebuje tradycyje aryjanizmu w Polsce i jednocześnie, w ciepłym fragmencie maluje kolebkę narodowego teatru z Bohomolcem i Bogusławskim na czele.

Między postaciami, tłumaczącemi tę poważną grę myśli, odznaczają się niektóre mistrzowską rzeźbą i służyć mogą za komentarz do smutnego epizodu naszej historyi, inne noszą na sobie piętno bardziej odrębne, i należą przeważnie do typów rodzinnych. Na ciemnym tle społecznego rozkładu uwydatnia się portret sfrancuziałego hetmana, rozpustnego „królewiątka" z czasów Stanisławowskich; podczas, gdy na odludnym ostrowiu domowego ogniska świecą postaci marszałków dworu i różnowierczych sprzymierzeńców, jakby siłą prześladowania wpisanych do odsuniętej od społeczeństwa rodziny. Ponad wszystkiemi jednak postaciami góruje nawskróś odrębny typ kobiecy, nie należący ni do XVIII-go, ni tymbardziej do XVII-go stulecia. Jestto niby doraźna zapowiedź lepszych czasów, czysty pierwowzór niewieściej emancypacyi. Laura, wychowanka zdrowych myśli, Biblii i natury, zepchnięta nagle siłą warunków z utartej kolei, śmiałe stawia kroki poza obwodem rodzinnego koła; i choć ostatecznie do opuszczonego gniazdka dąży i powraca, jej samodzielne słowa i czyny dowodzą, że nie zabłąkałaby się w społecznym odmęcie, że nie mogąc być żoną i matką, zaświeciłaby z czasem na szerszym widnokręgu, jako obywatelka kraju.

Przy bogactwie myśli, przy tylu poruszonych strónach rodzinnego i społecznego życia narodu, wobec mistrzowskiej choć szkicowej charakterystyki wsi i miasta w XVIII stuleciu, a nadewszystko, z powodu dzielnie narysowanego typu kobiety-człowieka, powieściowy obraz „Macocha" mimo ram zużytych, dla nikogo obojętnym pozostać nie może.

A. G. B.

ROZMAITOŚCI.

P. Stanisław Smolka syn znanego posła ze Lwowa Franciszka Smolki otrzymał w Gietyndze stopień doktora filozofii za rozprawy „O rocznikach polskich do XIV wieku". P. Smolka, jak to już czytelnikom naszym z recenzyi zamieszczonej w jednym ze styczniowych numerów Opiekuna wiadomo, pracuje specyjalnie nad historyją i ogłosił niedawno drukiem rozprawę swą o *Henryku brodatym*—Autor ma zamiar ogłosić w przyszłości większe studyjum nad epoką dzielnic książęcych, w której to pracy życzymy, tak młodemu (p. Smolko ma dopiero lat 19) a tak wiele już obiecującemu autorowi, jak największego powodzenia.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu Cieśl. w Łętkowicach. N. 49, 50, 51 z. r. z. i 19 z r. b. oraz początek powieści „Dług Honorowy" posyłamy, należy się nam kop. 50.

P. Eraz. Gr. w Kownie. Dziękujemy za popieranie zamiarów naszych. Prosimy o korespondencyją. Stypendyjum dotąd nie zatwierdzone, mamy jednak nadzieję że to wkrótce nastąpi.

P. Broni. Wert. w Kazaniu. Jeżeli Panu chodzi o podręczniki dla nauki dzieci, to polecamy wydawnictwo Jeskiego—które łącznie z kosztami przesyłki kosztuje rs. 3 kop. 60. Nabyć pan możesz w księgarni M. Glüksberga w Warszawie.

P. Stanisławie O. w Kocinie. Dziękujemy za nadesłane uwagi. Metoda okazowa jakiej trzyma się Pani przy nauczaniu dziatwy jest jedynie dobrą metodą.

P. W. Jark. w Czepielu. Dziękujemy Panu za uznanie i prosimy o uwagi krytyczne dotyczące naszego pisma.

Дозволено Цензурою. — W drukarni Jana Jaworskiego. Warszawa, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Redaktor i Wydawca Henryk Perzyński.